

JÓZEF LASOŃ.

## BEZDOMNI.

(Z cyklu: WOJNA NA WOŁYNIU.)

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

3

Pełnia księżyc oświecała drogę wygnańców, jak gdyby wzruszona niedolą ludzką, promienie lśniące się po powierzchni moczarysk stała. Już przycichły z lasu gdzieś wyjące paszcze armatnie, pozorny spokój zawitał w przestrzeni.

Ostatnimi wysiłkami ciała Frank postępował naprzód, próbując glebę ścieżki, cmijając zdradliwe miejsca. Ręce kobiety kurczowo objęły go za szyję, zdawały się przyrosnąć do niego, jak gdyby dłonie tonącej istoty ostatniej deski ratunku szukały. Spłotły dłonie jego silnie ciało drżącej kobiety, poczuł dreszcz przebiegający przez jej ciało, szarpanie wewnętrzne, przeistaczanie się natury. Każda chwila niebezpieczeństwem groziła, nie można było przystanąć, nabrać tchu i zmęczone ramiona wyprostować. U piersi jego pochylona twarz żony wiała się od wewnętrznych bólów, skrzywiły się usta spazmatycznie, dzwoniły zęby, trawiając spieczoną usta gorączką. Za każdym krokiem jęk stłumiony wydierał się z jej gardła, który jak ostrze stali rozdzierał serce Franka. Dzieci w milczeniu kroczyły za nimi, uspokojone grozą, przelekłe.

— No Maryniu! — z ulgą szepnął Frank — już kończą się przekłete torfowiska. W chacie Marycy światło. Jeszcze przez te sitowia przejdziemy.

— Ulżę ci ciężaru, spróbuję iść — odrzekła.

— Nie, nie! Nie możesz ani kroku postąpić! Przeniosę cię przez te sitowia. Tu już chata Marycy.

— Zarośla dochodziły im prawie że do piersi, krwawiąc ręce i targając suknie. Wreszcie dotarli do chaty. Była to nędzna lepianka, osadzona pośród moczarysk, jak krzyż przydrożny, osamotniona. Grube nieociosane belki, połączone ze sobą, tworzyły ściany lepianki. Szpary pomiędzy łączeniami zalepione były gliną, aby uchronić od wicherów przeciągłych. Raczej na szalas z narzuconym na wierzchu chaty sitowiem zeschnym, niżli na chatę była podobna.

Pokrzywione drzwi, także okienko jedno, w polowie pozatykane szmatami, zasłonięte było łachmanem starym, przez który światło kominka wydobywało się na zewnątrz. Kawał rury blaszanej, nakształt wylotu armaty, jako komin, wetknięty był w sitowie pokrycia dachu. Z biegiem czasu lepianka ta widocznie zapadała się, wsiąkała w moczarysko, które gdzieś pod zeschniętą napozór glebą stwardniała zdawało się trwać i grozić mieszkańcom jak i lepiance pochłonięciem.

Frank uderzył butem o drzwi chaty. Cisza panowała wewnątrz. Podeszedł do okna, zapukał osłobodzoną ręką, stawiając kobietę na ziemię i podtrzymując ją jednym ramieniem.

— A kto tam? — gniewny, szorstki głos z wewnątrz chaty zapytał.

— To my, Maryco! My!

— My, my! Czort też jest my!

— Frank, rządcą ze dworu!

— Rządca? — spytał powtórnie chrypliwy głos Marycy.

Stukot rozsuwanych rygli świadczył, że Maryca wstała już i chatę otwierała.

Frank odetchnął z ulgą, przytulił głowę żony do piersi i gorąco uściśnął. Dzieciaki, uradowane nadzieją prędkiego spoczynku, obok matki cichutko przystanąły, patrząc ustawicznie w twarz rodziców, troski i cierpienia chcąc zrozumieć.

— Bogu dzięki! — szepnęła Frankowa, głaszcząc po jasnych włosach stojącą parę dzieciaków. — Bóg was w swej opiece nie opuści. Wyrwał nas prawie cudownie z rąk śmierci, ocali i w przyszłości.

Maryca z płonącym luczycywem w dłoni stanęła w progu chaty, przypatrując się ciekawie znanej jej rodzinie Franków...

## IV.

Wiedźma, przypominająca postać starej Marycy, badawczo wpatrzyła się w niespodziewanych nocnych gości. Wiek przygarbił ją ku ziemi, walki życia ciężkiego szeregiem zmarszczek na wychudłej twarzy rozsiadły, oczy jeno świecące, świdrujące pozostały niezmiennie. Był w tym wzroku tyle przebiegłości i energii, że raczej zdała się być nieziemską istotą. Kosmyki siwych włosów, z pod węg-

nianej szmaty, wysuwały się, poczerwiała twarz staruszki jak tęcza otaczały. Gruby kostur w ręce, nieodstępny towarzysz i łachmany, okrywające ciało wychudłe, przy świetle płonącego ogniwa, przypominały jedną z czarownic zaklętych.

Spojrzała na nich badawczo, a bezzębne usta wykształsiły słowa:

— Wejdźcie do chaty!

Frank natychmiast zabrał kobietę i wniósł do chaty.

Nędza tu świeciła, bo prócz barłogu z liści zeschnych pod piecem posłanych, prostej ławki i kilku kuchennych garnków i ławki palikami białej w gliniastą podłogę ziemi, nic więcej nie było. Szczerńiała święty obrazek, na ścianie wybielonej wapnem, jedyną ozdobą i zbytkiem starej Marycy pozostał.

— Połóżcie żonę tu, na posłaniu — rzekła stara — widząc rozglądającego się po izbie Franka. — Za chatą liści sporo, dzieciom posłanie i wam się zrobi. Drzewa urąbać trzeba, aby ogień nie wygasł, staram — usprawiedliwiała się — nie poradzę sama, musicie mi pomóc.

Frank ze wskazanego miejsca przyniósł sporą ilość zeschnych liści i ułożył dzieci do snu.

— No, co, wam paniusiu? Zaraz wam ziółka zaparzę, cierpienie przejdzie. O, stara jestem, doświadczona, już ja was nie puszcze z pod mojej opieki. Dobrzy wy dla mnie, przygarbneli, okryli, stara Maryca umie być wdzięczną. No, a wy, Franku, idźcie na dwór drzewa urąbać, ja tymczasem zabiorę się ziółka przygotować.

Wyszedł posłusznie do sionki, siekierę ujął w dłonie. Oszołomiony przejściami, chwiejąc się na nogach, do zagajnika podążył, sosnę lub świerka młodego urąbać. Wypadki, co dopiero przeżyte, jak upiory stawały przed nim, ramiona ciążyły jak podczas przejścia przez groble. Pierś ciężko dyszała, febryczne drżenia, gorączką spowodowane, trzęsły nim, jak wicher gałęziami drzew.

Mimowoli przystanął, z bocznej kieszeni zegarek wydobyl, chcąc sprawdzić godzinę. Była to godzina druga po północy.

— Zatem ośm godzin strasznych przeżyliśmy — szepnął w duszy — ośm godzin, które wiekiem się wydały.

Z za borów na horyzoncie nieba, luno pożarów krwistą plamą snuły się, kłębamii czarnego dymu, niby ołowianami chmurami przysłonięte. W nocnym mroku szukały schronienia uchodzące wojska. Z głównego traktu, o parę wiorst, głuchy turkot furgonów i jaszczków armatnich dochodził, jeszcze od czasu do czasu huk armatni wstrząsnął powietrzem.

Szybko, pomimo zmęczenia, siekierą począł ścinać sosnę, z wysiłkiem podnosząc ją w górę.

Nagle zdawało mu się, że z drugiej strony torfowiska głosy dochodzą. Pomimo jasnej nocy i wytężenia wzroku nie mógł nic rozpoznać.

— Widocznie — pomyślał — zbłąkali żołnierze na brzeg torfowisk natrafili, a bojąc się pościgu, wśród miękkiej ziemi przejścia szukać zaczęli i ratunku. Przeraziła go ta myśl. Żołnierze gotowi zając kwaterę i pozostać jakiś czas, ich usuwając z chaty Marycy. Nie było innego dostępu do tej chaty, a tylko dobrze znający tę okolicę mógł odzyskać ścieżkę, zatem czuł się przed nową napaścią zabezpieczony. Rozpaczliwe krzyki, wzywające pomocy, przekonywały go, że żołnierze w kałużę błotną się dostali, z której niema ratunku i sposobu wydobyć.

Ucieszył się w pierwszej chwili, że żołnierstwo nie dojdzie w żaden sposób do niego, litość jednakże wzięła górę — namyślał się przeto począł, czy nie może im jakimkolwiek sposobem dopomóc. Chcąc ratować żywcem wchłoniętych w muł i powoli coraz głębiej zapadających, trzebawy pomocy kilkunastu par rąk ludzkich, takąż ilość deszczek i drągów. Nie sposób było wystarać się o to, z żalem więc rozmyślał począł nad nieszczęśliwymi ludźmi, których śmierć obejmowała już w swoje ramiona.

Krzyki te drażniły mu nerwy poczęły i niemiłe wywoływały wspomnienia. Czempredziej zebrał porąbane gałęzie, zarzucił siekierę za pas i ruszył w stronę domu Marycy.

Maryca, zaparzywszy odwaru ziółek, zebranych letnią porą w lesie, napoiła żonę Franka, która natychmiast zapadła w głęboki sen.

Dołożył kilkakrotnie mokrych drzew do kominka i znużony usnął niebawem, rozciągając zmęczone ciało na gliniastej podłodze chaty. Stara kobieta, mrucząc pod nosem niezrozumiałe jakieś słowa zaklęć czy modlitwy, przysiadła do kominka i tam na pokoszawionej ławce drzemać poczęła.

— — — — —

Wczesnym rankiem powiła Frankowa syna.

Dziecię przyszło na świat ra pół żywe, Maryca

pokiwała smutnie nad niem siwą głową i rzekła do Franka:

— Trzeba ochrzcić! Wieczora nie dotrwa.

Przyniosła w glinianym garnuszku wody i od-mawiając pacierze, ochrzczono niemowlę, imię ojca dając.

Stara dobrze przepowiedziała, bo koło południa, zakwiliwszy żalostnie parę razy, zasnęło niemowlę snem wiecznym.

Frank, pod wieczór, owinawszy martwe ciało dziecka, niedaleko chaty je pochował.

Zapasy żywności, zgromadzone przez Marycę, prędko zniknąć poczęły. Chora kobieta ziółkami tylko przez Marycę karmiona była, potrzebnem było dostanie herbaty i cukru lub mleka, którego zupełnie brak było w ubogiej chacie.

Drugiego dnia Frank spostrzegł z przerażeniem, że ostatni kęs chleba pozostał, który Maryca dzieciom odłożyła. Trzeba było pomyśleć o żywności, w przeciwnym razie widmo śmierci głodowej poczynalo im wszystkim grozić.

— Nie martwcie się, panie Frank! — pocieszała stara, widząc zadumane i przygnębione oblicze rządcy. — Mam ja zapasy na złą godzinę zachowane. A teraz przecie zła dla was godzina. Parę dni pożyjemy, a coraz ciszej huczą te przekłete armaty, może ucihną wreszcie i będziemy mogli pomyśleć o dalszych zapasach żywności.

Powoli płynąć poczęły dni wygnańcom. Wsłuchiwali się w odgłosy toczącej się walki. Frankowa przychodziła do zdrowia i sił pod troskliwą opieką Marycy, która na wędrowki zapuszczać się poczęła, przynosząc i żywność i przysmaki dla dzieci.

Przyznała się wkońcu, że do żołnierzy dochodzi i stamtąd podarki te przynosi i wraz z tem nowiny wojenne. Więc na zamku rozsiadł się już nieprzyjaciół, walka przegrodzona została moczaryskami i torfowiskiem. Byli więc na strefie neutralnej, zabezpieczonej od falangi żołnierstwa tak z jednej, jak i z drugiej strony, jak również i od pocisków. Za nimi nieprzebyte moczaryska się ciągnęły, przed nimi las szumiący, przyroda, rzekłbym, prawo wszechwładne pochwyliła w swe dłonie, naturalnym terenem moczarysk odgradzając się.

Frank postanowił udać się na zamek, zobaczyć stan jego obecny i zbadać sytuację ewentualnego powrotu lub przedostania się przez linię z żoną i dziećmi. W gorących słowach polecił opiekę rodziny Marycy i postanowił z brzaskiem dnia następnego w podróż do zamku się wybrać.

— W każdym razie — zwrócił się do żony, która początkowo odradzała mu poczęła ten zamiar — może uda mi się coś przynieść, choćby żywności trochę lub odzieży i bielizny.

— Idź zatem! — zgodziła się wkońcu — lecz pamiętaj wracać jak najprędzej.

— Prowadź Bóg! — mruknęła Maryca — ja wam panocku rodzinę się zaopiekuję. Nie bójta się! Maryca wdzięczność w sercu do was chowa, złego nie da zrobić!...

## V.

Z brzaskiem dnia wybrał się Frank w drogę do zrujnowanego zamku. Tą samą ścieżyną, przez którą w pamiętny wieczór uciekał, z powrotem szedł, rozglądając wokoło całą grozę tej niebezpiecznej przeprawy.

Wydało mu się to wręcz nieprawdopodobnem, ponad siły ludzkie przechodzącym.

Dochodził do podnóża polanki, skąd droga stawała się już suchszą i kończyły się bagna moczarysk, gdy wzrok jego padł na wystające jakieś przedmioty z mułu i ilu.

Wpatrzył się w tę szklistą powłokę i zadrzał. Były to ręce ludzkie, zeschniętym mułem oblepione, wystające pośród bagna? Kleista masa pochwyliła ludzi jak mackami, momentalnie udusiła, sterczące błagalnie, ratunku próżno szukające ręce na powierzchni pozostały, ciało zatrzymało się na spodnim stwardniałym gruncie. Pogięte lodygi trzciny i sitowia znaczyły drogę ucieczki.

Nadbrzeżne gąszcz trzciny i sitowia strątowane były w podobny sposób, widocznie więcej tu żołnierzy, w ucieczce ratunku szukając, znalazło śmierć w bagnie.

Przeszedł przez ciało jego dreszcz. Frank wspominał o podobnym losie swoich ukochanych. Wystarczyło wtedy jeden fałszywy krok uczynić, lub w ciemnościach nocy zabłądzić i w podobnym znaleźć się położeniu.

Zdradny torf bagniska nie odrazu bowiem wciąga w otchłań swoją pochwyconą ofiarę. Początkowo zapadając się nogi, w elastyczną masę wchodząc, pozwalając kroczyć po powierzchni, póki się nagle człek po pas w bagnisko nie dostanie. Wolne ręce